

Z ANNA DYMNA rozmawia MAREK PALKA



Foto: Janusz Szewczyk

Słowo może uleczyć

- Rzadko ostatnio mamy okazję oglądać Panią w teatrze, zatem wielbicieli Pani talentu na pewno ucieszy wiadomość, że na scenie krakowskiego Teatru im. Słowackiego odbyła się

niedawno premiera *Mewy* Antoniego Czechowa, w której gra Pani rolę Arkadiny.

- Jestem szczęśliwa, że znów gram w sztuce Czechowa. Dla aktora to

prawdziwe święto. Czechow i Szekspir to moi ukochani dramaturdzy. Kilka razy pracowałam nad czechowowskimi rolami. W 1975 roku przez dziewięć miesięcy pod okiem Jerzego Jarockiego pracowałam nad rolą Ani w *Wiśniowym sadzie* w Starym Teatrze. Pamiętam to piękne przedstawienie. Grałam u boku wielkich aktorów; m.in. Ewy Lassek, Wiktora Sadeckiego, Jerzego Treli. Pamiętam każde słowo Raniewskiej - Lassek. Nigdy nie widziałam tak wstrząsającej roli. Miotana sprzecznymi uczuciami i namietnościami, pełna miłości, słabości... To było po prostu arcydzieło. 26 lat temu brałam udział w innym niezwykłym przedstawieniu: *Dziesięć portretów z czajką w tle* w reżyserii Jerzego Grzegorzewskiego. Grałam w nim Ninę Zarięczną, a Arkadię Teresa Budzisz-Krzyżanowska. Reżyser wyczarował świat pełen bólu, samotności, niespełnienia, wielkości i małości ludzkich. Spektakl był magiczny, poruszający. Teraz moje życie aktorskie dopełnia się. Jako Arkadina patrzę ze wzruszeniem na młodzieńką Anię Cieślak, która u mego boku gra tytułową rolę w sztuce wyreżyserowanej przez Andrzeja Domalika.

- Arkadina jest niewątpliwie jedną z najciekawszych postaci kobiecych klasycznego repertuaru teatralnego; grana była przez największe aktorki. Jaka jest Pani koncepcja roli?

- Ja w pewnym sensie jestem taką Arkadina. Wszystko się zgadza. Tak jak moja bohaterka jestem aktorką, teatr jest moim życiem - kocham go jak kogoś najbliższego. Ale mam 54 lata. Czas moich wlotów przemija. Jak sobie z tym radzić? Ja oczywiście mam swoje sposoby, ale Arkadina bardzo się miota. Walczy z desperacją o miłość, dokonuje spazmatycznych wyborów między synem i kochankiem, boi się samotności. Pełna dumy, egocentryzmu, pewna swej wielkości nagle spostrzega, że wszystko może stracić, że wszystko przemija. Jest w niej dobro i zło, czułość i okrucieństwo, łagodność i wściekłość... i ogromna samotność, i potrzeba miłości... Wszystko! To bardzo prawdziwa i wstrząsająca rola do zagrania. Jak się jest aktorem czy aktorką trudno oddzielić życie i przemijanie od sceny. Życie ma swoje prawa i tego się nie zatrzyma. Trzeba znaleźć w życiu harmonię.

- Odnoszę wrażenie, że Pani udało się taką harmonię znaleźć.

- Jestem szczęśliwą osobą i nikt mi tego nie zabierze. Wybrałam sobie zawód aktorki, mimo że jestem, jak podejrzewam, typem anty-aktorki. Mnie nigdy nie interesowała ta strona zawodu, która tak porywa młode dziewczątka. Wie pan, jak ja się wstydziłam swojej pierwszej okładki, jak wstydziłam się, kiedy musiałam pierwszy raz stanąć na scenie? Byłam okropnie nieśmiała. Chciałam być psychologiem. Ale i w aktorstwie najbardziej porywało mnie badanie tajemnic zachowań, duszy człowieka. I niech teraz pan zobaczy, co się stało. Moje życie zatoczyło wielki krąg

i moje młodzieńcze marzenia też się spełniają. Rozmawiam z ludźmi o ich problemach, zajmuję się niepełnosprawnymi... Oczywiście, będąc aktorką też niejako parałam się psychologią. Bo jeśli poważnie traktuje się swój zawód, to graną postacią trzeba zanalizować, zrozumieć i uwiarygodnić. Aktorzy pełnią w pewnym sensie funkcję terapeutów. Powinniśmy widzom pomóc coś zrozumieć, czasem czegoś nauczyć.

– A czy w Pani życiu teatr pełni funkcję terapeutyczną?

– Jestem tego pewna. Miałam w pewnym momencie swego życia takie stesy i tak ciężkie przeżycia osobiste, że gdyby nie ten zawód, nie poradziłabym sobie. Byłam wtedy młodą osobą, więc było mi jeszcze trudniej zmagać się z przeciwnościami. Ale nie musiałam chodzić do żadnego terapeuty ani psychologa. Wychodziłam na scenę i zapominałam o bożym świecie. Żaden terapeuta by ze mną nie zrobił tego, co zrobiła ze mną *Noc Listopada* czy *Wiśniowy sad*, w których wtedy grałam. Mogłam się skupić na czymś innym. Miałam poczucie, że teatr jest najważniejszy. Potrafiłam w najgorszych momentach pójść do garderoby, umalować się, przebrać się i uciec od rzeczywistości. Oczywiście, możemy traktować to, o czym w tej chwili mówię, w kategoriach miłości do wykonywanego zawodu. W każdym razie mnie to uratowało.

– A więc z jednej strony teatr może dla aktora pełnić funkcję terapeutyczną, ale z drugiej wydaje się, że bardzo trudno jest aktorowi znaleźć się w tym zawodzie tak, aby on go nie niszczył, by go budował.

– Każdy kij ma dwa końce. To może być zawód potwornie wyniszczający. Zaliczany jest do najbardziej stresujących. Ja miałam szczęście, że pracowałam w takim, a nie innym teatrze, z wielkimi reżyserami, którzy obdarzali mnie zaufaniem. Praca była zawsze moją pasją, radością, największą przyjemnością. To nie znaczy, że nie przeryczałam wiele nocy, nie mogąc sobie poradzić z rolą, że się nie męczyłam. Oczywiście, że tak. Ale w tym wszystkim była jednak radość – radość ze współpracy z Kaziem Kutzem, Jerzym Jarockim, Konradem Swinarskim. Zresztą Konrad to był najlepszy psycholog, jakiego w życiu spotkałam. Kiedy obsadzał aktorów, to stwarzał taką aurę, że tylko ty jeden na świecie dobrze to zagrasz. Obdarzał aktora zaufaniem. I wtedy rosły nam skrzydła. Ale nie daj, panie Boże, kiedy zobaczył, że komus jest wszystko jedno.

Byłam więc uczona przez swoich mistrzów, że ten zawód bez miłości nie ma sensu. Często myślę, że jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem. Byłam aktorką w najlepszym miejscu na świecie, w najważniejszym czasie. Mój zawód był misją, sposobem na piękne i ważne życie. Tworzyliśmy wspaniałą zespół w Starym Teatrze, pomagaliśmy sobie nawzajem. Mówi się, że teatr jest rodzi-

na, a ja powiem, że to jest więcej niż rodzina. W rodzinie wszystkiego nie powiesz, bo boisz się, że kogoś zranisz. A my, aktorzy, tyle o sobie wiemy.

– Często wspomina Pani swoją przyjaźń ze znakomitą aktorką Zofią Jaroszewską. Czy taka przyjaźń dwóch aktorów w obecnych czasach jest możliwa?

– Niestety, nie mam młodej przyjaciółki aktorki, która byłaby tak silnie związana ze mną, jak ja z Zosią Jaroszewską. W ostatnich latach zmieniły się relacje międzyludzkie. Młodzi są wspaniali, tylko te nasze kontakty teraz na czym innym polegają. W ogóle na czym innym polega życie. Za komuny pieniądze nie miały właściwie żadnej wartości. Czy się je miało, czy nie i tak nic za nie nie można było kupić. Granice były pozamykane. Ale myśmy inaczej żyli, inne były wartości. Najwspanialej było sobie kupić buteleczkę i całą noc gadać o sztuce. Z Dymnym prowadziliśmy dom otwarty. Po próbach w teatrze wszyscy szliśmy do SPATIF-u na obiad. Po spektaklu też zawsze się ze sobą spotykaliśmy. Teraz wszyscy się gdzieś spieszą, mają inne zajęcia. Powiedzialabym, że obecnie żyje się bardziej wszcz, a kiedyś bardziej w głąb. Więzy międzyludzkie na czym innym polegały. Przedtem byliśmy dla siebie ważniejsi. Teraz pieniądze mają większą wartość, ludzie za nimi gonią. Ale pieniądze naprawdę nie mają takiego znaczenia. Zmieniła się jakość życia. Nie wiem, czy taka przyjaźń, jak moja z Jaroszewską, byłaby teraz możliwa.

– Wiem, że ma Pani znakomity kontakt ze studentami jako profesor w krakowskiej szkole teatralnej. Z niektórymi później występuje Pani na jednej scenie.

– Pracuję teraz w teatrze z moimi wychowankami, Krzysiem Zawadzkiem i Anią Cieślak, mam z nimi bardzo dobry kontakt. Jedną z moich studentek była np. Maja Ostaszewska – bardzo inteligentna, utalentowana aktorka. Jestem dumna, gdy patrzę jak gra, gdy słucham, jak pięknie umie mówić o sobie. Ale czasem sobie myślę, jakie biedne są w tej chwili te młode aktorki. Kiedy ja byłam młoda i zagrałam rolę np. w telewizyjnej sztuce *Żaloba przystoi Elektrze*, to potem były recenzje, telefony, gratulacje. Cała kulturalna Polska żyła wówczas teatrami telewizyjnymi. A teraz? Młode aktorki grają czasem wspaniałe role i to nic teraz nie znaczy, zatapia się to wszystko w tej telewizyjnej magmie, w serialach. To już ma mniejsze znaczenie.

– Jak Pani postrzega niewątpliwie zmiany, jakie zaszły w naszym życiu teatralnym?

– Zmiany polegają między innymi na tym, że przychodzą nowi ludzie i wnoszą nowe jakości do teatru. Dobre i złe. Kiedyś w teatrze była pewna ciągłość, były hierarchie. To było jak ze sztafeta – pałeczka była przekazywana. Starych aktorów ceniło się i szanowało. Dla mnie przyjaźń ze starymi aktorkami

i aktorami: z Zofią Jaroszewską, Zofią Niwińską, Władysławem Hańczę, Wiktorem Sadeckim, była jedną z najważniejszych rzeczy w życiu. Dzięki nim nie popełniłam tysiąca błędów. Oni mnie nauczyli tylu rzeczy, a ja ich kochałam. Stary aktor to była dla mnie świętość. A w tej chwili jest coś takiego, co nazywa się „ponowoczesność”. Odciać się od wszystkiego, co było. Może tak ma być? Zgoda. Tylko po co tyle nerwów i pogardy?

To nie znaczy, że mi się wszystko, co nowe, nie podoba. Niektóre przedstawienia robią na mnie wielkie wrażenie i dają dużo do myślenia. Np. *Hamlet* Piotra Klaty grany w Stoczni Gdańskiej jest dla mnie wstrząsający. Jest bolesną prowokacją, mówi o degeneracji naszego życia, o profanacji wartości, o braku autorytetów, o przerażeniu i samotności. Usłyszałam w tym przedstawieniu krzyk rozpaczy myślących, wrażliwych ludzi, którzy nie kochają rzeczywistości w której żyją. Bo prawdę mówiąc, często trudno ją kochać.

– Rozumiem, że w „ponowoczesnym” teatrze nie znajduje Pani dla siebie miejsca, trochę dziwi jednak niewielką ilość propozycji filmowych, jakie pani przyjmuje.

– Zagrałam wiele ról i czuję się spełnioną aktorką. Naprawdę. Nie dostaję ostatnio ciekawych propozycji, dla których z czystym sumieniem i radością rzuciłabym wszystko, czym się na co dzień zajmuję. Zresztą to całkiem normalne, że dla aktorki po pięćdziesiątce jest o wiele mniej ciekawych ról. No i co, czy ja mam stać przed lustrem i płakać? Oglądam czasami swoje stare filmy: biega takie małe coś, chude, śliczne. A ja teraz jestem kimś innym. I czy mam nad tym ubolewać, kroić się, duszę diabłu zaprzędać? Przecież młodość nie wróci. To nie znaczy, że jestem teraz mniej warta. Choć starość, szczególnie w Polsce, nie jest miła. U nas na co dzień starymi ludźmi się pogardza. Lansowana jest obecnie poprzez reklamy i okładki pism młodość, szczupłość, sprawność. Czy to znaczy, że jak jesteś chory, mniej sprawny, grubszy i dojrzały to masz skoczyć w przepaść? Nie ma u nas Narajamy. Prowadzę program „Spotkajmy się”, gdzie rozmawiam z ludźmi cierpiącymi, niepełnosprawnymi, chorymi, umierającymi. Widzę, ile w nich piękna, siły, radości, energii mimo przeciwności losu, mimo niesprawności, oszpeceń, bólu.

– Imponujące, w jaki sposób potrafia Pani w tych programach rozmawiać z chorymi ludźmi.

– To kosztuje mnie często wiele nieprzespanych nocy. Kiedy z nimi rozmawiam, muszę w ogóle o sobie zapomnieć, zamienić się w słuch, otworzyć serce, by mogli otworzyć przede mną swoje. Tutaj muszę rezygnować z aktorstwa. Po prostu muszę być człowiekiem. Choć wiele umiejętności, takich jak umiejętność słuchania, skupienia bardzo mi się przydają.

– Pani bardzo przeżywa rozmowy z chorymi, tymczasem zawodowi terapeuci potrafią się zdystansować od problemów pacjenta.

– Ja nie potrafię. Zwykle podczas rozmowy przejmuję na siebie ich cierpienia. Często pękam przy nich i razem płacemy, zdarzało się, że oni mnie pocieszali i uspokajali. Jestem wtedy podobno haniebnym zaprzeczeniem profesjonalnego terapeuty. Ale rozmawia nam się świetnie. Kilka lat temu zaczęłam się zajmować niepełnosprawnymi umysłowo. Kiedy byłam z nimi, a oni nie rozpoznawali we mnie aktorki, to nagle rozumiałam, że akceptują mnie i lubią tylko dlatego, że umiem z nimi rozmawiać, że się ich nie boję, że lubię z nimi być i że jestem jaka jestem. Jakis nowy świat otworzył się przede mną. Mogłam im pomóc i tu wykorzystywałam fakt, że jestem znaną osobą. Mogłam otwierać zamknięte dla nich drzwi. Robię z nimi przedstawienia, prowadzimy warsztaty terapeutyczne, niedawno otworzyliśmy siłownię.

Dostaję ogromne ilości listów. Zwłaszcza po moim telewizyjnym programie „Spotkajmy się”. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak straszna nędza i samotność zataczają coraz szersze kręgi. Jest wielu niepełnosprawnych pozamykanych w domach. Moim marzeniem było utworzyć taki łańcuch pomocy i w tym celu założyłam fundację „Mimo wszystko”. Ale trzeba mieć dużo siły i nie zrażać się pewnymi opiniami, które do mnie docierają, a nieraz są wyrażane wprost. Strasznych rzeczy na swój temat się czasami nasłucham. Dobro jest bardzo podejrzaną wartością w naszej rzeczywistości. W ogóle wszystko jest podejrzaną. Ale ja się nie zniechęcam. Widzę, jak ludzie już mają dosyć nienawiści i ile w nich potrzeby czynienia dobra. Trzeba to tylko umieć uruchomić.

– Jest jeszcze jedna sfera Pani działalności, a mianowicie Salon Poetycki. Ukazała się książka, dokumentująca działalność Salonu prowadzonego przez Panią od 2002 roku w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie.

– W pewnym momencie zorientowałam się, że z naszego życia w ogóle znikła poezja. Poezja znikła również z życia zawodowego aktorów. I ja się z tym nie zgadzam. Zaczęłam tęsknić za poezją. Wielu moich kolegów też. No i stworzyliśmy takie miejsce, gdzie co tydzień możemy czytać i słuchać pięknych słów. Salon stał się dla mnie takim małym uniwersytem poezji. Nie przypuszczałam, że przyniesie mi tyle radości. Wprawdzie przygotowanie każdego ze spotkań wymaga ogromnej pracy, ale nie robię tego sama. Największą podporą był dla mnie od początku Paweł Szot. Organizowałam Salon na wariackich papierach: może się uda, może nie. W każdym razie poczytamy wiersze dla ludzi i to za darmo, co jest nie bez znaczenia. Sponsorzy tego przedsięwzięcia trochę mnie traktowali jak wariatkę. A ja sobie pomyślałam, że skoro we mnie i w moich kolegach jest

taka tęsknota za poezją, to w ludziach pewnie też. I nie pomyliłam się. Przychodzą tłumy. Publiczność Salonu spotyka się ze sobą, rozmawia. Są ludzie, którzy mówią, że dzięki temu nie czują się tak samotni. Bo Salon to nie tylko spotkanie z poezją, ale i spotkania człowieka z człowiekiem. Kiedyś, po 20. chyba spotkaniu, podeszła do mnie pani, która jest emerytowaną nauczycielką, a ma tak niską emeryturę, że nie stać jej na uczestniczenie w życiu kulturalnym. Ona przeżywa dylemat, czy kupić sobie leki czy coś do jedzenia. Powiedziała mi, że odłączyła się do Salonu Poezji, nagle uwierzyła, że jej życie ma sens. Ma po co wyjść z domu i ubrać piękną sukienkę.

– Salon jest odbierany jako antidotum na zalew złego słowa, sączącego się z ekranów telewizorów.

– Wyśnił mi się ten Salon. Był reakcją na reality show. Obejrzenie zaledwie fragmentu Big Brothera było porażającym przeżyciem, po którym zasnął. Przysniło mi się, że siedzę w zamkniętym pomieszczeniu – białym, okrągłym. Naokoło wszędzie kamery, które mnie śledzą. I nagle widzę, że trzymam w ręce tomik sonetów Szekspira. Kiedy zaczęłam go czytać, uspokoiłam się. Poszłam rano do teatru i zapytałam moich kolegów, czy nie poczytaliby poezji dla publiczności. Zgodzili się bardzo chętnie: Anna Polony, Jerzy Trela, Ewa Kaim, Anna Radwan, która jest samą poezją, a potem wielu, wielu innych.

– Salon łączy zarówno pokolenia aktorów, jak i widzów. Idea rozprzestrzenia się. Ostatnio powstał w Gliwicach.

– Mamy już osiem Salonów w różnych miastach. Ten gliwicki mieści się w pięknym miejscu. Świetna akustyka i oświetlenie, wspaniałe miejsce do czytania poezji. Otworzyłam Salon, jak zawsze, poezją Twardowskiego. W czerwcu wystąpił w Gliwicach Andrzej Seweryn. Przyszły tłumy. Zasadą każdego ze spotkań jest to, że największa polska i światowa poezja czytana jest przez znakomitych aktorów. Poezja czytana, nie recytowana. Bo czasem jest tak, że recytacja zabija treść. Kiedy czytamy wiersz, skupiamy się nad sensem – Wisława Szymborska mi to mówiła.

– Pytania o wartość słowa na przykład...

– Tak, słowa są obecnie bardzo nadużywane. Wielu mówi, co chce i nie bierze za to żadnej odpowiedzialności. Słowa tracą więc wartość. Nasza polska demokracja wygląda tak, że nie bierze się w ogóle odpowiedzialności za to, co się mówi. A kiedyś mówiąc: „daję słowo”, znaczyło: „daję życie”. Upadają autorytety – jeden opluwa drugiego, bo mu wolno. Słowo pełni niestety jakąś zgubną rolę, a przecież posiada nieprawdopodobną siłę. Może uleczyć, uratować z najgorszej opresji, ale może też zabić.

– Słowo jest jednym z podstawowych elementów w pracy aktora. Tymczasem ostatnio młodych (ale i starszych) aktorów w teatrze nie

można usłyszeć już w drugim rzędzie. Czy dlatego, że teatralne techniki mówienia odbierane są jako sztuczne, a aktorzy dążąc do naturalności stosują filmowo-telewizyjny styl gry w teatrze?

– To jest coraz większy kłopot. Kiedy zaczynałam pracę w teatrze, równoległe całe czas grałam w filmie. Zupełnie inaczej używa się słowa na scenie, a inaczej przed kamerą. Ogromnym problemem dla moich studentów jest dostosowanie tych środków wyrazu do odpowiedniego medium. Bo kiedy tak sobie blisko siebie siedzimy i jakąś scenę próbujemy, to oni mają w oczach prawdę, umieją przekazać uczucia. Ale to nie dojdzie do drugiego rzędu. Tak więc ja nawet wolę, żeby mi student na początku mówił sztucznie, choć oni twierdzą, że jak będą głośniejsi mówić, to tracą prawdę. Zwróćmy uwagę na seriale. Dziwne zjawisko. Czasami grają w nich naprawdę wielcy aktorzy i grają amatorzy. Przepraszam, ale zdarza się, że to amatorzy są lepsi. Bo oni wnoszą na ekran jakąś swoją prawdę, swoje ułomności. Oni niczego nie kreują, oni są. Powiedziałabym, że mają w sobie „prawdkę”. Ale taka „prawdka” już na scenie to nie jest żadne aktorstwo. Bo aktor musi coś kreować: musimy do czegoś nabrać dystansu, coś przetworzyć przez swoje uczucia i umieć to powtarzać. Ja tego uczę. Najcudowniej uczy się na pierwszym roku, kiedy studenci mają jeszcze szeroko otwarte oczy, są chłonni wiedzy, ciekawi wszystkiego. Później bywa różnie. Uczę prozy, przedmiotu, w którym słowo jest najważniejsze. Uczę ich, że na scenie słowo jest twoim największym przyjacielem i sprzymierzeńcem. Jednym słowem można wyrazić najróżniejsze uczucia i stany.

– Ale korzenie tego, o czym mówimy, leżą moim zdaniem gdzie indziej, a mianowicie w szkołach podstawowych i średnich. Kiedyś byłem przewodniczącą jury teatrów międzyszkolnych. Nauczyciele opiekujący się tymi teatrami, robili to fachowo, zapraszali aktorów do współpracy. A teraz nie ma na to pieniędzy. Nie uczy się w szkole prawidłowego mówienia, tak jakby to było nieistotne. Dzieci seplenią, pochylają samogłoski, źle akcentują. Na to nakłada się zły wpływ mediów, zwłaszcza telewizji, w której dominują źle mówiący politycy.

– Rozmawiamy wszak z Mistrzem Mowy Polskiej.

– Dostałam ten tytuł po serii programów „Spotkajmy się”. Tam mówię swoimi słowami. I chyba za to otrzymałam to wyróżnienie. My, aktorzy, przecież zwykle bezpiecznie i wygodnie mówimy słowami dramaturgów, poetów, scenarzystów. Jedną z najtrudniejszych i najbardziej stresujących stron tego zawodu jest udzielanie wywiadów... Ja wolę robić niż mówić, wolę pastować podłogi niż pięknymi słowami reklamować pastę.